

TROCHE ZA, A TROCHE PRZECIW (VI)

Jerzy J. PARYSEK

Uniwersytet im. A. Mickiewicza w Poznaniu

Wydział Geografii Społeczno-Ekonomicznej i Gospodarki Przestrzennej

e-mail: parysek_jerzy@yahoo.com

ORCID: 0000-0003-0044-6582

**„CHODZI MI O TO, ABY JĘZYK GIĘTKI POWIEDZIAŁ
WSZYSTKO, CO POMYŚLI GŁOWA”**

**„My point is that a flexible language should say
what the head is thinking”**

Ten zaczerpnięty z poematu *Beniowski* naszego wieszczca Juliusza Słowackiego¹ tytuł ma być myślą przewodnią eseju poświęconego współczesnemu językowi naukowemu, w tym także nauk geograficznych (geografii społeczno-ekonomicznej i gospodarki przestrzennej w szczególności). Nabieram bowiem przekonania, że z językiem naukowym – zwłaszcza nauk społecznych, w tym geografii społeczno-ekonomicznej i gospodarki przestrzennej – nie dzieje się dobrze.

Żyjemy wprawdzie w czasach, kiedy wszystko zmienia się dynamicznie, jak zwykłem mówić: w ruchu niejednostajnie przyspieszonym, ale to niczego nie usprawiedliwia. Rozwój zdominował każdą sferę naszego życia i zmienia się niemal wszystko. Zmieniają się nie tylko przedmioty zainteresowania geografii społeczno-ekonomicznej i gospodarki przestrzennej, ale również środowisko przyrodnicze, które nieustannie badają nasi „bracia bliźniacy” – geografowie fizyczni. Przyroda bowiem też podlega – i to wcale nie małym – zmianom. Przydałoby się powiedzieć za Heraklitem z Efezu *panta rhei* i pewnie wiele jest w tym racji. Wszystko płynie, a zatem i każdy płynie, będąc same-mu sobie „sterem, żeglarzem, okrętem”, jak to napisał inny nasz wieszcz – Adam Mickiewicz. Płynie czyli porusza się do przodu, choć w różnych płynąć można nurtach, ale takie jest życie i nic na to nie poradzimy. Płynąc w nurtach nauki, wybieramy sobie dyscyplinę naszych zainteresowań, przedmiot lub przedmioty badań, problematykę badawczą, metody i narzędzia badań, sposoby przedstawiania wyników naszych dociekań itp. Wybieramy także, choć może niezbyt świadomie, **język**, którym się posługujemy – i na nim koncentrujemy się w niniejszym tekście.

Przyjmując, że wszystko płynie, przyjmujemy jednocześnie, że się rozwija także używany przez nas język, zarówno ten codzienny, potoczny, literacki, jak i naukowy. Pojawia się wiele nowych słów, terminów, pojęć, których znaczenie trudno czasami jednoznacznie zinterpretować. Różna

¹ Tytułowy dwuwiersz otwiera oktawę XVIII pieśni V poematu *Beniowski* Juliusza Słowackiego. Pięć pierwszych pieśni utworu zostało wydane w 1841 r. w Lipsku w składzie Leopolda Michelsena (przyp. red.).

bywa geneza i różne pochodzenie językowych innowacji. Tradycyjnie są to metafory, ale mamy także zapożyczenia z języków obcych, obcojęzyczne tłumaczenia oraz własne propozycje. Innymi słowy, język naukowy znajduje się w nieustannym rozwoju.

Co to zatem jest ten **rozwój** i na czym on polega? Pojęcie rozwoju najmocniej zakorzenione jest w naukach biologicznych. W tej dyscyplinie naukowej rozwój rozumiany jest jako całokształt zmian w budowie i funkcjonowaniu organizmów, jakie dokonują się zarówno pod wpływem środowiska wewnętrznego (w tym czynników genetycznych), jak i środowiska zewnętrznego. Składające się na rozwój i świadczące o nim zmiany, odbywające się w sposób ciągły (ewolucyjny) lub etapowy (skokowy), prowadzić mogą do powiększenia wielkości obiektu, nabrania cech dojrzałości, doskonałości, złożoności, lepszego zorganizowania, a zatem mieć mogą charakter pozytywny względnie postępowy – lub też – prowadzić do utraty posiadanych właściwości, zaniku elementów, uproszczenia struktury, a zatem mieć charakter wsteczny czy wręcz negatywny. W naukach społecznych, a do takich zalicza się geografię społeczno-ekonomiczną i gospodarkę przestrzenną, w pojęciu rozwoju zawarty jest całokształt zmian względnie przemian, jakim podlegają zarówno społeczeństwo, jak i gospodarka. Podkreśla się niekiedy, że chodzi o zmiany ukierunkowane i nieodwracalne struktury branżowe pod uwagę obiektu. Wydaje się jednak, że rozwój społeczno-gospodarczy, choć ma złożony, a do tego strukturalny charakter, interpretować można także w kategoriach zmian konkretnych właściwości poszczególnych składników systemu społeczno-gospodarczego, tj. wyróżnionych jego elementów, które decydują o wykształconych strukturach. Można także zakładać, że nie wszystkie dokonujące się, a świadczące o rozwoju zmiany mają nieodwracalny charakter.

Podobnie jak to ma miejsce w przypadku społeczeństwa i gospodarki, tak i w odniesieniu do języka naukowego rozwojem nazwać można jedynie zmiany pozytywne, korzystne, postępowe, jednak chyba nie zawsze nieodwracalne. Każdy rozwój, w tym także języka, miewa swój wymiar ilościowy względnie jakościowy, poprzez które jest postrzegany i oceniany. Rozwój ilościowy to przede wszystkim rosnąca liczba nowych słów, natomiast rozwój jakościowy – to głównie poprawa stopnia komunikatywności języka. Każdy język jest bowiem – i powinien zawsze być – narzędziem komunikacji międzyludzkiej i porozumienia. W sferze nauki powinien dodatkowo gwarantować poprawną interpretację prezentowanych poglądów naukowych oraz wyników prowadzonych badań. Sprawa ta jest szczególnie ważna, kiedy w stosowanym języku naukowym mamy do czynienia z wprowadzaniem doń coraz to nowszych słów, terminów, pojęć, które poza zbiorem nieporozumień i chaosem semantycznym niczego właściwie nie przynoszą, a w sumie wpływają na charakter i właściwości języka, w konsekwencji na jego – nie zawsze najlepszą – ocenę, przynajmniej w nawiązaniu do pożądanых cech tegoż języka.

Wymienia się wiele cech, jakie charakteryzować powinny język naukowy – wśród nich takie, jak jasność, jednoznaczność, prostotę, logiczność, zwięzłość oraz zrozumiałość. Cechy te nie tworzą zbioru rozłącznego, bowiem po części się pokrywają, a ponadto łączy je pewnego rodzaju sieć relacji przyczynowo-skutkowych. Oznacza to, że jedna cecha decyduje o charakterze drugiej (np. prostota o zwięzłości, logiczność o jednoznaczności), a pięć wymienionych na początku tej wyliczanki w sumie decyduje o szóstej, czyli o zrozumiałości języka, co oznacza, że zostanie on właściwie odczytany i jednoznacznie zrozumiany.

Pisząc o języku naukowym, warto zastanowić się nad przyczynami nie zawsze potrzebnego i sensownego powiększania zasobów słownictwa języka naukowego. Jakże to są zatem przyczyny?

Pierwszą – kolejność nie zawsze musi oznaczać hierarchię ważności – jest bez wątpienia *internacjonalizacja* języka polskiego. Proces ten dotyczy, i to w szczególny sposób, języka naukowego. Naukowcy są pod wpływem różnego rodzaju presji, która ma na celu narzucenie zewnętrznych słów, pojęć, norm, następnie poglądów stosowanych często poza daną dyscypliną naukową, poza praktykowanym językiem naukowym, a także poza językiem narodowym. Powodem ulegania tej presji jest próba zmanifestowania swojej nowoczesności, postępu, rozeznania w problematyce, ale również jest zwykłym wpisaniem się w poprawność ideologiczną, polityczną oraz nowomowę, która nie omija przecież sfery nauki. W tym kontekście można zapewne mówić zarówno o globalizacji języka naukowego, jak i o globalizacji będącej czynnikiem rozwoju słowotwórstwa naukowego.

Inną z przyczyn obserwowanego stanu rzeczy wydaje się brak w języku polskim słów pozwalających w miarę jednoznacznie oddawać sens terminów obcojęzycznych, co do pewnego stopnia jest zrozumiałe. W ten sposób na podstawie słów oryginalnych tworzone są nowe pojęcia – np. „sustensywność”, „rozwój sustensywny”, „rezyliencja”, lub znanym słowom polskim nadaje się nowe znaczenie – np. „redundancja”, „kontrybucja” itd. Mamy też do czynienia z nie zawsze szczęśliwie dokonanymi tłumaczeniami terminów obcojęzycznych na język polski, np. *smart* jako inteligentny, *cohesion* jako likwidowanie różnic, zmniejszanie dysproporcji itp. Nie wiem, czy takie postępowanie można zawsze nazywać sensownym. Zupełnie niezrozumiałe jest według mnie wprowadzanie do języka naukowego wyrazów w znaczeniu innym od ugruntowanego w języku codziennym. Chyba lepiej jest posłużyć się pojęciem oryginalnym, wiedząc, jaki jest jego semantyczny sens, niżli tworzyć nowe słowa, niemające z językiem polskim wiele wspólnego lub stosować tłumaczenia wymagające jednak dodatkowych wyjaśnień.

Kolejną przyczyną rozkwitu słowotwórstwa w polskim języku naukowym jest przeświadczenie o tym, że liczba stosowanych w tekście metafor i różnego rodzaju neologizmów będzie dowodem na oryginalność, nowoczesność oraz wartość naukową tworzonych tekstów lub projektu badawczego.

Mamy także do czynienia z adaptacją do krajowych aktów prawnych i różnych dokumentów terminologii stosowanej w Unii Europejskiej, np. ostatnio pojęcia „taksonomia energetyczna”, co nie zawsze oznacza jasność przekazu. Szkoda, że zapisy tych dokumentów nie są przed ich uchwaleniem poddane weryfikacji logicznej, językowej i prawnej (prawniczej).

No i jest jeszcze moda, której trudno się oprzeć lub za którą wypada nadażać, a także bezmyślne nąśladownictwo. Szkoda jednak, że ma to miejsce w języku naukowym, bo od niego oczekiwać należałoby wskazanych wcześniej cech. Wszystko to razem składa się na niezrozumiałe powiększanie zasobów słownictwa języka naukowego, stającego się swoistą nowomową, znaną uprzednio jedynie z języka polityki. Można sobie tedy zadać nie pytanie: czy język giętki powiedział wszystko, co pomyśli głowa? – ale: czy głowa pomyślała o tym, co wyraził, może czasami nazbyt giętki język?

Odnosząc się konkretniej do języka naukowego, warto poświęcić kilka słów **metaforom**. W metaforze obce sobie słowa tworzą związek frazeologiczny o nowym znaczeniu i jako takie trafiają nieustannie do języka, co w języku potocznym, a zwłaszcza literackim nie jest niczym złym. Nieco inaczej zarysowuje się jednak sytuacja w języku naukowym. Tutaj bowiem metafora jest przedmiotem indywidualnej refleksji, lecz przez dowolność interpretacji często prowadzi do niejasności i nieporozumień. Może nie byłoby to najważniejsze, gdyby nie fakt, że świat jako przedmiot naszych badań jest w coraz większym stopniu postrzegany i opisywany właśnie przy użyciu metafor. Szczególnie wiele nowych metafor pojawiło się w języku naukowym postmodernizmu, kiedy zyskiwać zaczęły one na znaczeniu, kształtując wiedzę, stając się sposobem prowadzenia dyskusji naukowej oraz formą wyrażania myśli. Nie wszyscy jednak tak myślą. Uważają bowiem, że metafory – jako produkt semantyki – oparty na psychologicznych i filozoficznych implikacjach (mimo pewnego znaczenia w nauce) tworzą jednak język sztuczny, niejednoznaczny, a do tego mało przydatny w kształtowaniu rzetelnej wiedzy. W takim kontekście zapewne przyjąć trzeba, że metafora jest raczej składnikiem języka, a nie procesu myślenia – i chyba tak powinna być traktowana w języku naukowym. Mimo tych krytycznych ocen bezsensowną rzeczą byłaby eliminacja metafor z języka naukowego. Odgrywają bowiem czasami nawet dużą rolę w tworzeniu nowych pojęć teoretycznych oraz procesach teoretycznego modelowania. Jako takie są wykorzystywane zarówno w tworzeniu nowych paradygmatów rozwoju nauki, jak i w modelowaniu obserwowanej rzeczywistości. Oczywiście nie wszystkie wprowadzone do języka naukowego metafory wzbogaciły ten język i spełniły pokładane (w nich) nadzieje.

Język geografii społeczno-ekonomicznej i gospodarki przestrzennej jest szczególnie bogaty w metafory. Przy użyciu metafor stosunkowo łatwo opisywać społeczeństwo i gospodarkę. Tylko dla przykładu przywołam kilkanaście z nich stosowanych w naszej dyscyplinie, a wykorzystujących polskie

słownictwo: życie gospodarcze, potencjał gospodarczy, elastyczność produkcji, elastyczność popytu, bieguny wzrostu, wehikuły rozwoju, hamulce rozwoju, życie miasta, cykl życia produktu, inkubator przedsiębiorczości, środowisko biznesu, regiony uczące się, regiony kurczące się, gospodarka oparta na wiedzy, gospodarka kreatywna, przemysł turystyczny, przemysły kultury itp. Wiele z tych metafor wpisało się do języka geografii społeczno-ekonomicznej dzięki pewnej użyteczności właśnie w zakresie tworzenia nowych pojęć oraz w modelowaniu teoretycznym badanej rzeczywistości.

Tworzenie nowych pojęć, rozszerzenie znaczenia pojęć znanych oraz wprowadzenie obcojęzycznych dotyczy niemal wszystkich dyscyplin naukowych i praktykowane jest od dawna. Już w XIII wieku angielski franciszkanin, filozof, logik, matematyk i teolog **William Ockham** (1285–1347 lub 1349) sformułował zasadę ekonomii myślenia, w myśl której w wyjaśnianiu zjawisk „należy dążyć do prostoty”, stosując wybór drogi postępowania zawierającej jak najmniejszą ilość założeń wstępnych i pojęć. Zasada ta nazwana została „brzytwą Ockhama” i najczęściej podawana jest w sformułowaniu: „nie należy mnożyć bytów ponad potrzebę” lub „nie mnożyć bytów bez potrzeby”. Jak zwykle to bywa, poglądy Ockhama były przez jednych (zwłaszcza filozofów) uważane za kontrowersyjne, natomiast w naukach – przede wszystkim tzw. podstawowych i empirycznych – przyjmowane były i są jako wysoce użyteczne. Choć „brzytwa Ockhama” nazwana została zasadą ekonomii myślenia, to jednak nie w ekonomii i innych dyscyplinach nauk społecznych, a w naukach ścisłych, technice i technologii znajdujemy przede wszystkim jej zastosowanie. Co więcej, „brzytwa Ockhama” traktowana jest często jako narzędzie walki z pseudonauką, a jej branie pod uwagę uważane jest za przejaw pragmatyzmu, użyteczności i odpowiedzialności twórczej. Podzielał ten punkt widzenia. Rygoryzm terminologiczno-pojęciowy, a nie liberalizm, woluntaryzm czy chaos powinien być cechą języka naukowego. Jak widać, setki lat temu brat William sformułował w odniesieniu do języka (naukowego) to, co Juliusz Słowacki wyraził w słowach będących tytułem niniejszego eseju, tj. „aby język giętki powiedział wszystko, co pomyśli głowa”. Ekonomika myślenia ważna jest w nauce, której dorobek to przecież efekt tego, co pomyśli głowa.

Francuski filozof **René Descartes** – znany w Polsce jako Kartezjusz – użył sformułowania „myślę, więc jestem”². Nie wymaga to chyba komentarza, kiedy weźmiemy pod uwagę to, że owo sformułowanie dotyczyło poszukiwania podstaw wiedzy. Chcąc być (pracować) w nauce, trzeba po prostu myśleć. Czytając teksty naukowe, ma się niekiedy wrażenie, że z tym myśleniem nie jest jednak najlepiej. Można by przytoczyć wiele z tych tekstów pozwalających upewnić się w przekonaniu, że warto pomyśleć głową, zanim użyty zostanie język giętki, czasami zbyt giętki...

Szczególnie niepokoi szerzący się, a wspomniany już woluntaryzm terminologiczno-pojęciowy. Z jednej strony jest to nieadekwatne użycie pewnych, dobrze znanych i na drodze naukowej zdefiniowanych pojęć, a z drugiej – wprowadzanie substytutów takich pojęć, najczęściej obcojęzycznego pochodzenia. Sytuacja taka bywa przejawem nonszalancji, braku odpowiedzialności za słowo, bezmyślności lub niewiedzy. Sięgnijmy może zatem tylko po dwa przykłady: najpierw z uniwersalnego, a potem z geograficznego słownictwa naukowego.

W przygotowywanych lub publikowanych tekstach bezrefleksyjnie stosowane są terminy *paradygmat* i *model*. Nie są to „słowa-wytrychy”, ale dokładnie zdefiniowane pojęcia. Wprawdzie w obiegu naukowym funkcjonuje wiele definicji (pojmowania) pojęcia paradygmat, lecz wielość ta w zasadzie wiąże się z przyjmowanym punktem widzenia, a także z dziedziną wiedzy, w ramach której pojęcie to egzystuje. W ujęciu ogólnym **paradygmatem** jest sposób widzenia rzeczywistości przyjmowanym w danej dziedzinie nauki przez wspólnoty badaczy, składającym się ze zbioru stosowanych pojęć i teorii mających swoje umocowanie w tradycji i obowiązującej praktyce. Paradygmatem może także zostać nazwany wzorzec prowadzenia badań naukowych względnie schemat rozwiązywania naukowych problemów. Składniki tak pojmowanego paradygmatu tworzą pewną tradycję badawczą i trwają tak długo, dopóki nie zostaną zastąpione przez nowe, oparte na innych

² Fraza „*je pense, donc je suis*” pojawiła się w *Rozprawie o metodzie* Kartezjusza (1637), a w jego późniejszych *Zasadach filozofii* (1644) dopiero w postaci powszechnie dzisiaj znanego łacińskiego zdania *cogito ergo sum* (przyp. red.).

założeniach. W ten sposób zarówno dane obserwacyjne, jak i kryteria ocen istniejących teorii (także budowanych) stają się zależne od przyjmowanych paradygmatów. Paradygmaty są zaś przekształcane w czasie rewolucji naukowych i raczej nie dokonuje się to za sprawą logicznej argumentacji, lecz pewnego rodzaju namysłu czy nawrócenia. Wydaje się, że w każdej dziedzinie nauki – także w geografii – w pewnych okresach (od jednej rewolucji naukowej do kolejnej) przyjmowane były i są określone paradygmaty. Obejmują one sposoby postrzegania i traktowania rzeczywistości, przyjmowane założenia, wzorce prowadzenia badań, sposoby rozwiązywania problemów itd. To w ramach przyjmowanych paradygmatów tworzone są następnie idee, koncepcje, teorie oraz różnego rodzaju modele badanej rzeczywistości (np. dyscypliny naukowej, gospodarki, rozwoju gospodarczego). Często składnikami przyjmowanych paradygmatów są nowe pojęcia, w tym także metafory. Co więcej, konkretna metafora bywa nierzadko nazwą paradygmatu, np. geograficzny scjentyzm, geografia ilościowa, geografia radykalna, rozwój zrównoważony, rozwój endogeniczny, gospodarka oparta na wiedzy, gospodarka kreatywna, nowa geografia ekonomiczna, paradygmat decyzji przestrzennych itp. Należy jednak pamiętać, że dobre zdefiniowanie nowo wprowadzanych pojęć odgrywa ważną rolę w dążeniu do uzyskania jednoznaczności i zrozumiałości języka naukowego.

Każdy **model** – najczęściej budowany w ramach przyjmowanego paradygmatu – zwłaszcza w naukach geograficznych jest uproszczonym obrazem rzeczywistości (odwzorowaniem), co ma charakter poznawczy i wiązać należy z wynikami, a konkretnie syntezą przeprowadzonych badań bądź też jej projekcją (wzorcem), z czym mamy do czynienia w realizacji funkcji praktycznych, np. w gospodarce przestrzennej. W pierwszym przypadku jest to odwzorowanie czegoś, co realnie istnieje, co można zaobserwować, opisać, przedstawić (w formie uproszczonej), natomiast w drugim – to wzorec, wzór, projekt tego, co zamierza się uzyskać. W budowanym modelu odwzorowywane są zazwyczaj najbardziej zasadnicze właściwości branych pod uwagę obiektów. Istotą każdego modelu jest izomorfizm, czyli podobieństwo strukturalne pomiędzy odwzorowywanym przedmiotem (rzeczywistością) a jego modelem. W nauce wyróżnia się różne kategorie modeli – np. teoretyczne (w tym logiczne i analogowe), empiryczne oraz matematyczne. Modelem teoretycznym jest pewien system słowny lub symboliczny, na wzór którego konstruuje się inny system lub który jest odwzorowaniem innego systemu. W modelu analogowym do formułowania zagadnień oraz tworzenia nowych pojęć względnie hipotez wykorzystywana jest analogia z innymi dziedzinami nauki (np. z biologii, fizyki, medycyny). W modelu matematycznym (także empirycznym) ma natomiast miejsce przedstawienie lub odwzorowanie w formie matematycznej konkretnej sytuacji problemowej. Dodajmy, że jest zapewne jakieś podobieństwo procesu budowy modelu i tworzenia metafory. Osobiście uważam, że to w ramach przyjmowanych paradygmatów są definiowane i budowane określone modele, np. modele rozwoju miast, wpisane w paradygmat rozwoju zrównoważonego.

Zarówno w przypadku przyjmowanych paradygmatów, jak i modeli mamy do czynienia z pewną ich otwartością. Mogą bowiem być korygowane (i są), uzupełniane, zmieniane i zastępowane nowymi. Tak pojmowane pełnią w nauce wiele ważnych funkcji teoretycznych i praktycznych. Ich nazwy bez względu na to, czy są nowe czy tradycyjne, wchodzą zaś w skład języka naukowego.

Czas na przykłady z języka naukowego geografii. Dwa pojęcia, które pełnią rolę językowych wytrychów, to: *region* i *terytorium* – traktowane jako synonimy obszaru, terenu, a nawet rejonu czy obwodu. Zarówno *regionem*, jak i *terytorium* jest zawsze obszar o specyficznych właściwościach, a nie każdy dowolny. W geografii społeczno-ekonomicznej i gospodarce przestrzennej od blisko 80 lat (przede wszystkim za sprawą geografów amerykańskich) wyróżnia się **regiony**: *jednoro-dne* i *węzłowe*. Obie te kategorie regionów cechuje pewna jednorodność, choć określona przez zupełnie różne cechy. W przypadku regionu jednorodnego są to cechy skalarne, a w przypadku węzłowego – wektorowe. To z tego powodu pierwsze nazywa się regionami strukturalnymi, drugie zaś – funkcjonalnymi. I tak za regiony jednorodne uważa się takie obszary, które charakteryzują określoną kategorię cechy (konkretnie: określony poziom intensywności cechy/cech). Przykładami takich regionów są regiony rolnicze, przemysłowe, turystyczne, zacofane w rozwoju, także problemowe. Regionami węzłowymi są natomiast takie obszary, których granice wyznaczają społeczno-

gospodarcze powiązania danego obszaru z węzłem, jakim jest ośrodek miejski, a w tym może zostać zaspokojona większość potrzeb mieszkańców. Przykładami takich regionów są jednostki administracyjnego podziału kraju, ale także inne obszary wydzielone na podstawie analizy powiązań, np. obszary metropolitalne. Choć regionem węzłowym w sensie formalnym jest każda gmina, powiat czy województwo, to jednak w Polsce za region uważa się przede wszystkim województwo. Stąd też polityka regionalna dotyczy rozwiązywania problemów i rozwoju województw (a w sensie ogólnym: jednostek pierwszego od góry poziomu podziału administracyjnego danego kraju). Wspomniana uprzednio jednorodność w przypadku regionów strukturalnych (jednorodnych) odnosi się do homogenicznego charakteru obszaru ze względu na brane pod uwagę cechy, natomiast w przypadku regionów funkcjonalnych (węzłowych) jednorodność odnosi się do „homogeniczności” obszaru ze względu na powiązania z konkretnym ośrodkiem węzłowym.

Nieco inaczej zdefiniowane jest **terytorium**. Za terytorium uznaje się bowiem obszar o jednoznacznie określonych granicach, zamieszkiwany przez ludność o silnych, wewnętrznych więziach społecznych, mówiącą tym samym językiem, pielęgnującą tę samą tradycję, identyfikującą się z tym obszarem (o czym świadczą emocjonalne związki), na którym rozciąga się panowanie określonej władzy. A że warunki te spełniają z grubsza jednostki administracyjnego podziału kraju, przeto przysługuje im także nazwa terytorium (podział ten nazywa się także terytorialnym).

Używanie terminów „region” i „terytorium” jest poprawne jedynie wtedy, kiedy odnosimy je do tak jak powyżej zdefiniowanych obszarów. Nie każdy obszar i nie każdy teren jest regionem czy terytorium. Myślę, że posługiwanie się takimi nazwami obszarów jak rejon, obwód czy okręg może w badaniach geograficznych dotyczyć jedynie wyjątkowych sytuacji.

Podobnie ma się sprawa z *s y s t e m e m*. Użycie tego pojęcia jest uprawnione tylko wtedy, kiedy przedmiotem naszych zainteresowań (badań) jest funkcjonalna całość postrzegana poprzez jej elementy, relacje wewnętrzne (przede wszystkim wektorowe, choć także skalarnie, między wyróżnionymi elementami) i relacje zewnętrzne (relacje wektorowe pomiędzy elementami systemu a elementami zewnętrznego otoczenia, w jakim dany system funkcjonuje). Generalnie za systemy i do tego terytorialne – gwoli ścisłości: terytorialne systemy społeczne – uważa się jednostki administracyjnego podziału kraju będące przede wszystkim przedmiotami gospodarki przestrzennej, ale i badań z zakresu geografii społeczno-ekonomicznej.

Przykładów woluntarystycznego traktowania jednoznacznie zdefiniowanych pojęć lub wprowadzania nowych niczego nieprecyzujących można przytoczyć wiele. Zerknijmy więc tylko kilka przykładów.

Najbardziej uniwersalnym „wytrychem językowym” jest od pewnego czasu dość powszechnie stosowane słowo *interesariusz*. Końcówka „-riusz” wskazuje, że prawdopodobnie chodzi o jakąś osobę, tak jak w przypadku emisariusza, wolontariusza, sanitariusza, notariusza, antykwariusza, akcjonariusza, ordynariusza, templariusza, funkcjonariusza, parlamentarzysty czy proletariusza. W podanych przykładach dokładnie jednak wiadomo, o kogo chodzi i jaką pełni funkcję, choć może nie wszyscy wiedzą, kim jest ten proletariusz, ale starsi wiedzą (pewnie podobnie jest z ordynariuszem). Zachodzi jednak pewna różnica. Podjęte poszukiwania określenia istoty interesariusza i uzasadnienia wprowadzenia do języka naukowego tego słowa (nieobecnego w wielu publikowanych słownikach) nie przyniosły efektu. Nie przekonuje mnie to, że jest to słowo zaczerpnięte z nauki o rządzeniu. Dlaczego? Na podstawie lektury *Ustawie o rewitalizacji³ w sposób pośredni chyba jednak doszedłem do sedna sprawy. Dowiedziałem się, że rewitalizacja prowadzona jest przez interesariuszy rewitalizacji* (na podstawie gminnego programu rewitalizacji). Zgodnie z tą ustawą interesariuszami są m.in.: mieszkańcy obszaru rewitalizacji oraz właściciele; użytkownicy wieczności nieruchomości i podmioty zarządzające nieruchomościami znajdującymi się na tym obszarze, w tym spółdzielnie mieszkaniowe, wspólnoty mieszkaniowe i towarzystwa budownictwa społecznego; mieszkańcy gminy inni niż wymienieni; podmioty prowadzące lub zamierzające pro-

³ Ustawa z dnia 9 października 2015 r. o rewitalizacji – Dziennik Ustaw 2015 poz. 1777.

wadzić na obszarze gminy działalność gospodarczą; podmioty prowadzące lub zamierzające prowadzić na obszarze gminy działalność społeczną, w tym organizacje pozarządowe i grupy nieformalne; jednostki samorządu terytorialnego i ich jednostki organizacyjne; organy władzy publicznej oraz podmioty inne niż wymienione, a realizujące na obszarze rewitalizacji uprawnienia Skarbu Państwa. Innymi słowy – wszystkie podmioty prawne oraz wszystkie osoby i organizacje społeczne, jakie znajdują się na terenie gminy i realizują tam swoje cele. Pod pojęciem „interesariusz” kryje się więc wiele osób, instytucji, organizacji, firm itp. – co oznacza, że termin ten niczego nie wnosi do sfery poznania naukowego. Może brzmi ładnie, nowoczesnie, postępowo, ale niczego także nie precyzuje, nie konkretyzuje, nie wyjaśnia, nie uzupełnia, nie przybliża, a jedynie rodzi pytania, choć jest ochocho stosowany, również przez geografów. To taka przysłowiowa „mowa–trawa”.

Okazuje się, że też jestem (i wielokrotnie byłem) interesariuszem i to nie tylko działalności naukowej. W podanym przykładzie z ustawy rewitalizacyjnej interesariusz jest w istocie rzeczy substytutem wyrazu „ludzie” („mieszkańcy”). Słowem źródłowym słowa interesariusz jest prawdopodobnie *interes*. Przy przyjęciu takiego założenia interesariuszem może być: *człowiek robiący interes/interesy, interesowny, zainteresowany, interesujący, bezinteresowny, będący przedmiotem zainteresowania* (np. przez łowców talentów, policję itp.)? Nie przekonuje mnie nawet to, że jest to tłumaczenie anglojęzycznego słowa *stakeholder*. Termin ten przecież nie oznacza wszystkich, a jeśli każdego, to w określonej sytuacji (obecnie osoba / instytucja mająca wpływ na działalność podmiotu gospodarczego lub będąca pod wpływem tego podmiotu; rozumienie inne od pierwotnego). Aż się prosi, aby przyjąć, że w polskim języku naukowym interesariusz to też proletariusz, tylko inny i po części zinstytucjonalizowany. Nie wiem, jaki jest sens wprowadzenia do języka polskiego – zwłaszcza języka naukowego geografii społeczno-ekonomicznej i gospodarki przestrzennej – takiego niedookreślonego i rozmytego semantycznie pojęcia. W każdej sytuacji zawsze lepiej jest wskazać, o kogo konkretnie chodzi. Ekonomia myślenia jest chyba wrogiem ekonomiki nowomowy, zwłaszcza naukowej.

Słów wytrychów jest wiele. Prawdopodobnie wszystko może być zrównoważone, *smart* (zwłaszcza w sensie: inteligentny), *resilience*, wszystko może być miękkie, twarde (czynniki, przestrzeń), może być *czynnikiem*, wszystkim można *zarządzać*, wszystko można *trainułowac*, *mapowac* itp. Chyba można, ale nie jestem tego pewien...

Inny wątek dotyczący tego, co „powinna pomyśleć głowa”, dotyczy bezkrytycznego powoływania się na literaturę. Do każdego tekstu podchodzić należy krytycznie, niezależnie od tego, kto jest jego autorem. Podejście krytyczne oznacza oczywiście uruchomienie głowy do myślenia. O wartości naukowej przytaczanego punktu widzenia nie powinno zatem decydować nazwisko autora, a jego dorobek naukowy w danej problematyce, zwłaszcza zawarty w cytowanym dziele. Wiele jest przypadków bezsensownego przytaczania branych z literatury niejasnych sformułowań, wadliwych hipotez, nieprawdziwych faktów, nielogicznych definicji, nieadekwatnych i nierozłącznych klasyfikacji, wniosków niewynikających z przeprowadzonych badań itd. Są zapewne tacy autorzy na początku drogi naukowego rozwoju, których genialne osiągnięcia naukowe nie są jeszcze znane, a już są cytowani. Są jednak i tacy, którzy mają już poważny, niekwestionowany, ugruntowany dorobek naukowy w zakresie konkretnej problematyki, jednak nie dostąpili tego zaszczytu, a właściwie powinności. Trafiając na interesujący tekst, najpierw należy zapoznać się z osiągnięciami danego autora, uważnie i krytycznie przeczytać tekst, powiązać go logicznie z własną problematyką – i dopiero potem cytować... lub pominąć. Dla wielu młodych autorów nie ma to jednak znaczenia i cytują każdego, kto tylko cokolwiek w zakresie podejmowanej problematyki napisał, nieważne czy w odniesieniu do konkretnej kwestii – oraz – czy z sensem czy bez. Przywołuje się nawet punkt widzenia autorów, których liczby cytowań trudno jest się doszukać w *Google Scholar*. W ten sposób bibliografia zawiera często kilka setek pozycji literaturowych, których choćby pobieżne przejście zabrałoby autorowi kilka lat czytania ze zrozumieniem, pomijając wątpliwy związek cytowanej publikacji z obranym tematem. Ale w ocenie liczy się (jak widać) ilość, a nie jakość – oraz – nie dokonania, a dobre chęci.

Kiedy w dawnych czasach musiałem zdawać egzaminy z filozofii marksistowskiej (tak!), musiałem też znać prawo dialektyki mówiące o przechodzeniu ilości w jakość. Nawet bez Marksa rozumiałem taką konieczność, ale czy tak się dzieje? Albo to prawo już nie działa, albo oznacza przejście ilości w bylejakość. Nie jestem w stanie tego rozstrzygnąć. Właściwie od *Google Scholar* trzeba by zaczynać poszukiwania literaturowe. Niestety, oceny krytycznej tekstu trzeba się nauczyć. Nauka ta nie przyniesie jednak efektów bez uprzedniego nabycia wiedzy, zarówno ogólnej (filozofia, logika, metodologia), jak i specjalistycznej. Do tego potrzebne jest doświadczenie, a z tym człowiek niestety się nie rodzi. Ale żyjemy w takich czasach, kiedy więcej się pisze niżli czyta – i to jest słaby punkt funkcjonowania polskiego systemu nauki i szkolnictwa wyższego.

Problematyka języka naukowego jest tak rozległa, że trudno w dość krótkim tekście zwrócić uwagę choćby na najważniejsze problemy. Może zatem jeszcze na koniec wspomnę o wątpliwościach, jakie wywołuje znajomość starorzymskiego przysłowia: *quidquid agis, prudenter agas et respice finem* – co też ma związek zarówno z „myśleniem”, jak i z tym, „co pomyśli głowa”. Moja starcza głowa raczej nie bardzo jest w stanie zrozumieć, co pomyślały głowy autorów poniższych tekstów (cytuję wybrane fragmenty książek habilitacyjnych wysoko ocenionych przez recenzentów):

- *Przestrzeń ewoluuje w poszukiwaniu zdeterminowanego rozmaitymi czynnikami i zjawiskami porządku.*
- *Celem pracy jest identyfikacja metod i narzędzi polityki opartej na dowodach pozwalających na prowadzenie badań i wykorzystanie ich w procesach decyzyjnych w planowaniu przestrzennym, a także wskazanie specyfiki stosowania podejścia opartego na dowodach w planowaniu przestrzennym na terenach gmin wiejskich.*
- *Procesy rewitalizacji muszą stanowić początek niekończącej się ewolucji, procesów doskonalenia i rozwoju, które wywołują cykliczne przekształcenia, poprawę jakości przestrzeni miejskiej przez jej dynamiczną optymalizację, w tym również zmiany w wykorzystaniu nieruchomości publicznych i prywatnych. Chodzi o wzbudzenie trwałego ruchu na ścieżce rozwoju: nie jest to zatem proces zamknięty, a raczej iteracyjny, wskazujący po zakończeniu kolejnego cyklu zmian punkt wyjścia do procesów dalszych przemian, co znajduje swój wyraz w doskonaleniu sposobów efektywnego wykorzystania nieruchomości w przestrzeni. Efektywne ich wykorzystanie nie musi być tożsame z intensywnym czy wręcz nadmiernym.*

Może to i piękne, odkrywcze, oryginalne, ciekawe, nawet wartościowe, ale tak naprawdę nie wiem, czy tak jest, a jeśli w zamyśle było, to czy nie można było tego jaśniej napisać, zgodnie z cechami, jakie posiadać powinien poprawny tekst napisany polskim językiem naukowym.

Dbajmy zatem o język, jakim się posługujemy, zarówno o ten codzienny, jednak zwłaszcza naukowy. Tylko wtedy zostanie dobrze zrozumiany tekst, w którym chcemy przekazać wyniki naszych przemyśleń i badań – i dokonana właściwa jego ocena. Do tego nas zobowiązuje też *Ustawa o języku polskim*⁴, a także *tradycja głosząca, że „Polacy nie gęsi, iż swój język mają”*, na co pewnie jako pierwszy zwrócił proroczco uwagę „narodom postronnym” imię pan Mikołaj Rej z Nagłowic⁵.

W liceum, które ukończyłem 63 lata temu, jeden z naszych nauczycieli zadając nam pytania i czekając na odpowiedź, powtarzał: „myśleć, myśleć, myśleć” – i dodawał: „myślenie ma kolosalną przyszłość”. I głęboko w to wierzę, bardziej jednak w myślenie niżli w przyszłość, zwłaszcza kolosalną. Obym w tym drugim przypadku nie miał racji.

⁴ *Ustawa z dnia 7 października 1999 r. o języku polskim* – Dziennik Ustaw 1999 nr 90 poz. 999.

⁵ Mikołaj Rej pisał tak w wierszu *Do tego, co czytał z 1562 r.* (zamieszczonym w ramach obszerniejszego *Żwierzynca*): „A niechaj narodowie wždy postronni znają, iż Polacy nie gęsi, iż swój język mają”. Wśród językoznawców trwa dyskusja, czy słowo „gęsi” jest rzeczownikiem, czy przymiotnikiem. Ponoć w oryginale to słowo Rej napisał wielką literą – tzn. „Gęsi” (co również spowodowało odrębne interpretacje) (przyp. red.).